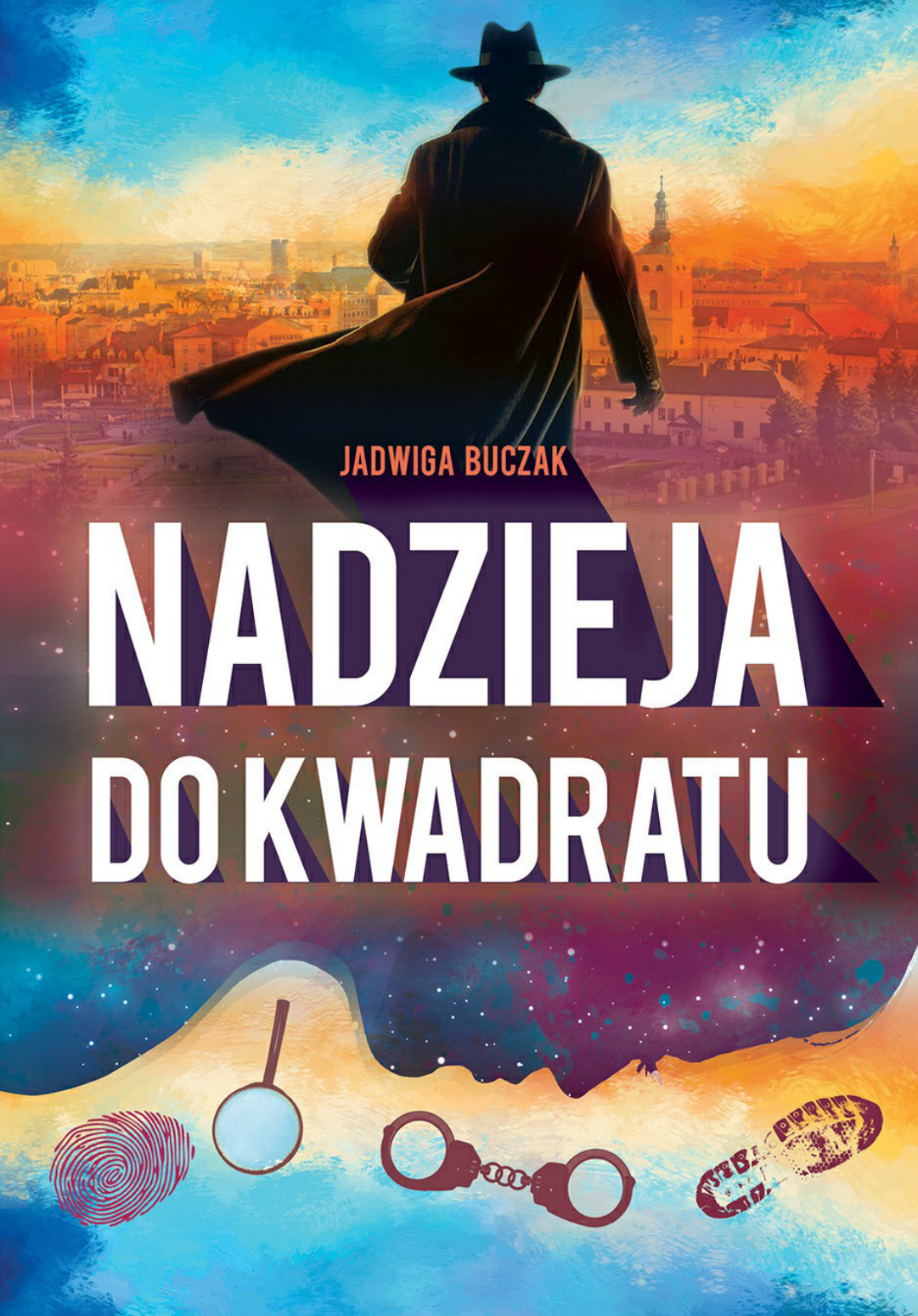


The background of the poster features a man in a dark trench coat and a fedora hat, seen from behind. He is standing on a rooftop or high vantage point, looking out over a sprawling cityscape at sunset. The sky is a mix of orange, yellow, and blue, with the sun low on the horizon. The city below is densely packed with buildings, and a prominent church spire is visible on the right. The overall style is painterly and atmospheric.

JADWIGA BUCZAK

NADZIEJA DO KWADRATU



Nadzieja do kwadratu

© Jadwiga Buczak

© for the Polish edition by Wydawnictwo Hm...

All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone

Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody twórców.

Pod redakcją: D. B. Foryś

Redakcja: Wydawnictwo Nie powiem

Korekta: Aleksandra Baranowska

Projekt okładki: E.Raj

Skład: D. B. Foryś | www.dbforys.pl

ISBN druk: 978-83-68177-30-5

ISBN e-book: 978-83-68177-31-2

Wydanie pierwsze

Wojkowice 2024

Wydawnictwo Nie powiem

E-mail: redakcja@niepowiem.com.pl

Telefon: 518833244

Adres: ul. Sobieskiego 225/9, 42-580 Wojkowice

www.niepowiem.com.pl

JADWIGA BUCZAK

NADZIEJA DO KWADRATU





SOBOTA

Nadieżda Hope siedziała w swoim pokoju i zastanawiała się nad dalszym życiem. *Nic mnie już ciekawego nie spotka. Pustka, nicość, dno*, myślała. Sięgnęła po czekoladę, ale został tylko papierek. Nerwowo zaczęła szukać. Gdzieś przecież musi być. Musi! Czyżby wczorajszy zapas się skończył? Zajrzała do torebki, do barku, nawet do szuflady ze sztucami, bo nigdy nie wiadomo, gdzie taka czekolada może się schować. Nigdzie ani kruszynki. Spojrzała na wiszący zegar.

– Dochodzi druga – powiedziała do siebie. – Kurczę blade, zostaje tylko stacja benzynowa.

Z trudem wyplątała się z mięciutkiego koca. Za oknem ciemno, ani jednej gwiazdy. Lampy uliczne świeciły ledwo, ledwo. Zawahała się. Bardziej nie chce się wychodzić

z domu, czy bardziej chce się czekolady? Czekolada jak zwykle zwyciężyła.

Nadia westchnęła i zaczęła naciągać pulower. Ze zdziwieniem stwierdziła, że już nawet ten kupiony miesiąc temu jest przyciasny.

– Ciekawe, przecież ostatnio dbam o dietę – mruzczała pod nosem – nie jem ziemniaków i chleba. Kawę słodzę tylko dwie łyżeczki.

Wzruszyła ramionami i wyszła z domu. Wsiadła do windy z mocnym postanowieniem, że od jutra to już na pewno na to czwarte piętro będzie wchodzić, a nie wjeżdżać. Na parterze winda się zatrzymała. Nadieżda chciała wyjść, ale drzwi stawiały opór.

– Kurczę blade, przecież nie będę tu nocować.

Pchnęła mocniej i z trudem je uchyliła. Pod drzwiami leżał jakiś mężczyzna.

Znowu jakiś pijak, pomyślała ze złością i zrobiła krok nad leżącym. Trzeba zgłosić wreszcie naprawę domofonu, to pijaczki nie będą robić sobie noclegowni w klatce. Z ulicy Piastów zeszła schodami, prosto na stację Shell. Drogę pokonała w niecałe siedem minut. Błyskawicznie. Przynajmniej tak jej się wydawało. Wokół ani żywej duszy. Sceneria jak z kryminału, przemknęło jej przez myśl. Nic, tylko mordować. Dobrze, że mieszkam w spokojnym mieście. Przynajmniej tak gazety donoszą. Na stacji benzynowej ze zdziwieniem stwierdziła, że facet tankuje samochód. Że też chce się ludziom wychodzić z domów o tej porze...

– Dobry wieczór, pani Nadio, a właściwie to już prawie dzień dobry. Znowu czekoladek zabrakło?

Pan ze stacji benzynowej uśmiechał się zyczliwie.

– Ano zabrakło, a pan wie, że za czekoladę to mogłabym zabić.

– Wiem, wiem. – Wyciągnął cztery mleczne i jedną nadziewaną. – Jak zwykle?

Kobieta kiwnęła głową.

– Do zobaczenia.

– Do zobaczenia – odpowiedziała niewyraźnie, bo właśnie wepchnęła do ust prawie pół tabliczki nadziewanej. Sapnęła z zadowoleniem i machnęła ręką na pożegnanie. Wsiadając do windy, nie pomyślała nawet o leżącym przed nią dwadzieścia minut temu pijaczku.

* * *

Promienie słońca wciskające się przez szparę w roletach obudziły Nadieżdę. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do nadchodzącego dnia. Zapowiadał się pięknie. Dręczące ją w nocy myśli uleciały razem z lipcowym porankiem. Sobota była jej ulubionym dniem. Postanowiła ją spędzić na porządkach domowych. Przeciągnęła się jak kot i bez pośpiechu wstała. W kuchni od wczoraj sterczały w zlewie brudne naczynia, a kosz na śmieci rwał się do wyniesienia. Nie cierpiała zmywania naczyń. *Skąd się tyle tego nzebierało?* Sypnęła parę ziarenek do akwarium, palcem

postukała w szybę, naciągnęła na siebie dres, wzięła worek ze śmieciami i wyszła. Obok kontenera zauważyła płaszc. Zdziwiła się, bo nie wydawał się zniszczony, wyglądał na taki w dobrym gatunku. Charakterystyczna szkocka krata przyciągnęła jej uwagę. *Gdzie ja już taki płaszc widziałam?* Wzruszyła ramionami. Nieważne. Miauknięcie Mruczka, którego co rano dokarmiła, przypomniało jej, że nie wzięła dla niego śniadania.

– Zaraz ci przyniosę świeżą jajeczniczkę. Poczeka chwilę.

Kot jakby zrozumiał. Zaczął ocierać się o jej nogi. Nachyliła się, żeby go pogłaskać, i zobaczyła oryginalny breloczek. Z jednej strony, na czerwonym polu otoczonym wieńcem laurowym widniały złote literki „ZSMP”, a na drugiej „NAUKA PRACA OJCZYŻNA SOCJALIZM”. Uśmiechnęła się do siebie. *Dawne czasy*. Zawiesiła breloczek na wystającej z kontenera śrubie i poszła (oczywiście wjechała windą) smażyć jajecznicę. Ich ulubione sobotnie danie. Jej i kota.

* * *

Nadkomisarz Bartłomiej Jaduch był z siebie bardzo zadowolony. Właśnie skończył śniadanie. Poklepał się po wydatnym brzuchu i upił łyk kawy. To nie ta lura, którą robi mu aspirant Zawilski w komendzie. Dzień zapowiadał się piękny. Lipcowa wolna sobota. Jutro wolna niedziela.

Uśmiechnął się do siebie. Pogładził po łysince i położył nogi na ławie.

Jaduch lubił siebie. Lubiał też spokój. Wczoraj udało mu się wreszcie zakończyć sprawę seryjnego mordercy znad Wisłoka. Drobnny pijaczek, jak się okazało, zabił, a właściwie nieszczęśliwie pchnął na kamienie swego kolegę. Ten drugi wcale nie został zamordowany, tylko pobity trafił do szpitala, ale jak to ładnie brzmi: „zamknąłem sprawę seryjnego mordercy”. Słusznie otrzymał w zeszłym roku miano „najlepszego gliny w mieście”. Wprawdzie tylko od kolegów z komendy, no ale zawsze to coś. I dyplom zrobili. Nawet wydrukowali w kolorze. Tylko ten nowy prokurator. Smarkacz. Ledwo szkoły taki skończy, a już czepia się wszystkiego. *Dobrze, że do emerytury mam tylko dwa lata. Tylko? Aż dwa lata. No nic. Jakoś wytrzymam.* I z rozrzewnieniem pomyślał, że będzie mógł wreszcie cały swój czas poświęcić pasji. Z uśmiechem popatrzył na wiszące na ścianie dzieło. Oprawione w ciemnobrązową ramę, za szkłem mieniło się kolorami jego drzewo genealogiczne. Tak! Musi dalej pogrzebać w dokumentach. Na razie doszedł do czwartego pokolenia wstecz i nie doszukał się związku z hrabią Potockim. Na razie! Przecież babunia wyraźnie mu mówiła, że mąż jej stryjecznej babci był z Potockich herbu Pilawa. Ten herb znalazł w Internecie i sobie wydrukował. Zawsze można znajomym, od niechcenia oczywiście, pokazać. Bartłomiej Sebastian Maria Jaduch herbu Pilawa.

Będzie dzisiaj piękny dzień.

Elwira Rumianek-Sałacka była rozwiedziona, ale życie jej eksmęża ciągle ją interesowało. Znała dokładnie jego rozkład dnia. Wiedziała, kiedy i gdzie chodzi na imprezy. Z kim jedzie na narty, a z kim latem nad morze.

– Taka już jestem i nic na to nie poradzę – tłumaczyła wszystkim.

A teraz... Tydzień temu były zniknęła jej z pola widzenia. Komórkę wyłączył, w pracy powiedzieli, że wziął urlop. Urlop. Akurat! Czatowanie pod jego domem też nic nie dało. Zadzwoniła do jego obecnej dziewczyny, ale ta odburknęła, że to nie jej sprawa. Przyjaciół, najlepszy przyjaciel, nie miał zielonego pojęcia.

Dlaczego akurat „zielonego”?, zastanawiała się przez chwilę. Brak jakiegokolwiek informacji nie dawał jej spokoju. *Gdzie się podział?*

– Jak kamień w wodę – mruzczała do siebie.

Dochodziła już siedemnasta. ale słońce grzało jak w południe. Wsunęła stopy w klapki i wyszła. Energicznym krokiem przeszła dwie przecznice. Windą wjechała na czwarte piętro i nacisnęła dzwonek. Po paru minutach, które wydawały jej się wiecznością, drzwi się otworzyły.

– No, nareszcie. Myślałam, że ty też zaginęłaś.

– Też? A kto zaginął? – Nadia popatrzyła na przyjaciółkę ze zdziwieniem.

– Ksawuś!

– Wejdz. – Cofnęła się, żeby ją przepuścić.

Elwira zaczęła mówić, zanim jeszcze usiadły.

– Od kilku dni się nie odzywa. Dwa dni temu dzwoniłam do tej jego... konkubiny – skrzywiła się przy tym wyrazie – ale ona powiedziała, żebym się od nich od... tegowała, tylko inaczej. A teraz ona też nie odbiera.

– Byłaś na policji?

– Byłam, ale mnie wyśmiali. No, nie prosto w nos. Powiedzieli, że nikt nie zgłaszał „zaginienia”. Tak powiedzieli: „zaginienia”. A skoro nie jestem już jego żoną, to on nie ma obowiązku mi się tłumaczyć. Ani on, ani tym bardziej jego partnerka. Podałam adres, niby zapisali. Tak na odczep się. Nadia, pomóż mi go szukać, tylko w tobie nadzieja! Sorry, to nie żadna aluzja.

– Wirka, przede wszystkim zacznij myśleć logicznie. Może Ksawery ma dość twojej, nazwijmy to, opieki i po prostu chciał się urwać? I od ciebie, i od swojej obecnej.

– Niemożliwe. – Pociągnęła nosem i zaczęła szukać w torebce chusteczek. Wypadły przy tym klucze z wisiorkiem.

– O, skąd go masz? Szukasz po śmietnikach?

– Co mam? Jakie śmietniki?

– No to! – Nadia podniosła z dywanu breloczek Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. – Dzisiaj rano taki sam znalazłam przy naszym śmietniku.

– Cooo? Ksawuś miał taki sam. Pamiątka, jak razem działaliśmy w Związku. Wiesz, że byliśmy wtedy nierozłączni. A nie wiesz, wtedy jeszcze się nie znałyśmy.

Nadia postawiła przed Elwirą pierogi, które odsmażała w trakcie rozmowy.

– Jedz! Z pełnym brzuchem lepiej się myśli.

Zaczęły jeść. Nadia z apetytem, a Wirka skubała po małym kawałeczku.

– Czego właściwie ode mnie oczekujesz? – Nadieżda w końcu przerwała milczenie.

– Chodź ze mną do mieszkania Ksawusia. Może ta konkubina – znowu się skrzywiła – nam coś wyjaśni.

Wsiadły do tico Elwiry, która pomyślała, bez szczególnej złośliwości, że Nadia się już z trudem mieści w jej aucie. *Chyba będę musiała kupić sobie jakąś terenówkę, żeby wozić koleżankę*, pomyślała, ale przezornie tej opinii nie wyraziła głośno.

Z Osiedla Dąbrowskiego na Hetmańską nie było daleko, ale Elwira ani myślała iść pieszo.

– Co za korki. W takie letnie południe ludzie powinni siedzieć nad wodą, a nie jeździć po mieście – denerwowała się i co chwilę trąbiła na inne samochody.

– Ostatni raz z tobą jadę. Jeszcze mi życie miłe – wyszczała Nadia, nerwowo trzymając się siedzenia i co rusz zamykając oczy.

– No, jak, patałachu, jeździsz? Nie widzisz, że ja mam pierwszeństwo? – krzyknęła Wirka, zjeżdżając z głównej drogi na Bulwarową.

Kierowca fordą tylko popukał się w czoło.

Weszły do klatki schodowej dzięki temu, że akurat jakiś młody człowiek z niej wychodził. Elwira najpierw zapukała, potem nacisnęła dzwonek. Cisza. Nacisnęła znowu i dłużej przytrzymała. Nikt nie odpowiadał. Kilka razy uderzyła pięścią w drzwi. Nasłuchiwały. W mieszkaniu nie było nikogo. Wirka wyjęła z torebki klucz i otworzyła.

– Skąd masz do nich klucz?

– Po prostu mam.

Weszły.

– To jest włamanie.

– Eee tam.

W przedpokoju paliło się światło, chociaż na dworze świeciło słońce. Mieszkanie było małe, taka kawalerka, pokój z kuchnią. Urządzone skromnie, a właściwie jakby dopiero czekało na urządzenie. W przedpokoju na gwoździach wbitych w niewymalowaną ścianę wisały jakieś ciuchy. Bardzo dużo ciuchów. Otwarte drzwi do łazienki zasłaniały widok na dalszą część mieszkania. Nadia kątem oka zauważyła rzucone na podłogę ręczniki, zapackane lustro i porozrzucane kosmetyki.

– Ale burdel. – Wirka się skrzywiła.

Było to takie oczywiste, że Nadia nie odpowiedziała, jedynie przytknęła drzwi łazienki. Weszły do pokoju i stanęły jak wryte. Na podłodze leżała kobieta, a obok niej

urwana lampa sufitowa. Na szyi miała pętlę ze sznurka, którego drugi koniec przywiązany był do lampy. Jasne włosy rozsypały się wokół głowy, utworzyły aureolę. Takie skojarzenie nasunęło się momentalnie Nadziei. Błado-niebieskie oczy w obwódce czarnych rzęs kontrastowały z siną twarzą i były zupełnie martwe.

Przez otwarte drzwi zajrzała sąsiadka.

– Wielkie nieba! Co wyście zrobili?!

Szybko wybiegła, wpadła do swojego mieszkania. Drzwi zamknęła na dwa zamki, założyła łańcuch i dopiero zadzwoniła po policję. Przez wizjer patrzyła, czy morderczynie nie uciekają.

Obie stały jak zahipnotyzowane. Wpatrywały się w młodą dziewczynę leżącą na środku pokoju. Nie zauważyły nawet dwóch funkcjonariuszy.

– To panie znalazły zwłoki?

Odwróciły się jak na komendę.

– My.

– Nadzieja? Nadzieja do kwadratu? – Jeden z policjantów przyjrzał się uważnie tej tętszej z kobiet.

Nadieżda popatrzyła na niskiego, lekko łysiejącego policjanta i zaczęła się zastanawiać, skąd go zna. „Nadzieja” mówili do niej w podstawówce, kiedy to pani od ruskiego powiedziała:

– Nadieżda, Nadzieja, masz takie ładne imię.

Na pierwszej lekcji anglika nauczycielka, czytając nazwisko, aż się zaśmiała. Hope! Nadzieja! Nadieżda Hope.

Nadzieja do kwadratu! Przez dwa lata podstawówki miała przechłapane. „Ty, nadzieja do kwadratu!”. Tak za nią wołali. To pech mieć takich dowcipnych rodziców.

– Nie poznajesz? Bartłomiej. Nic się nie zmieniłaś. – A w myśli dodał tylko: *Jesteś jeszcze grubsza.*

– Bartłomiej? Bartek! Bartek Jaduch, Szerlok! Zostałeś policjantem? Zawsze chodziłeś z lupą i szukałeś śladów przestępstw.

– I, jak widzisz, tak mi zostało.

Ale wyłysiał i jak był, tak i został kurdupkiem, jak go wszyscy w podstawówce nazywali, pomyślała. Jaduch nie był lubiany w szkole. Wtrącał się do wszystkiego. Wypytywał, podpuszczał, a potem donosił nauczycielom. Skarżypyta. W ósmej klasie chłopaki zrobili mu kocówę, a na straży stała Nadia. Miała gwizdnąć na palcach, gdyby szedł ktoś niepowołany.

– Poproszę was do złożenia wyjaśnień w komendzie – powiedział, a ekipie techników, która właśnie nadjechała, wydał parę dyspozycji.

Prokurator Franciszek Gwidański stał w drzwiach i od jakiegoś czasu przysłuchiwał się rozmowie. *Jaduch-Szerlok, dobre,* pomyślał. Obaj panowie nie darzyli się zbyt wielką sympatią. Niestety pracowali w jednej firmie.

– O, pan prokurator.

Z trudem przybrał poważną minę.

– Witam, panie nadkomisarzu. Proszę sobie nie przeszkadzać.

– Marku – Jaduch zwrócił się do specjalisty z zakresu medycyny sądowej pochylonego nad zwłokami – co powiesz?

Patolog Marek Polański spojrział na policjanta z góry przez grube szkła okularów. Był od komisarza o wiele wyższy i szczuplejszy. Można by powiedzieć nawet, że zwyczajnie był chudy. *Taka szczapa*, stwierdziła Nadia w myśli. Każdego musiała ocenić. Oczywiście ocena zawsze była krytyczna. Siebie też nie oszczędzała. Przy jej stu siedemdziesięciu centymetrach trochę ponad dziewięćdziesiąt kilogramów to stanowczo za dużo. *Trudno, od jutra się odchudzam!* Postanowione!

– Stężenie pośmiertne wskazuje, że zginęła parę godzin temu i... – patolog odgarnął długie blond włosy z szyi denatki – i... to nie powieszenie było przyczyną śmierci.

– Nie? – Jaduch chciał jeszcze o coś zapytać, ale Marek go uprzedził:

– Dokładniej powiem jak zwykle, po sekcji, a teraz nie przeszkadzaj.

Gwidański zamienił parę słów z fotografem i technikem dochodzeniowym. Nadkomisarzowi przypomniał o systematycznym składaniu sprawozdań z przebiegu śledztwa i wyszedł.

Bartłomiej aż poczerwieniał ze złości.

– Przypominam o systematycznym składaniu sprawozdań – wymruczał pod nosem, przedrzeźniając prokuratora.

– Co tam mówisz? – Nadia popatrzyła na niego i z trudem powstrzymała ironiczny uśmiech. – Co mruczysz?

– Nic – odburknął. – Zapraszam do radiowozu. W komendzie spisujemy wasze zeznania.

– Nie zakuje ich pan w kajdanki? – Z mieszkania naprzeciwko wyrzała sąsiadka. – To ja dzwoniłam.

– Z panią porozmawia aspirant Zawilski. – Skłonił się uprzejmie i skierował na schody.

* * *

Siedziały już prawie godzinę naprzeciw nadkomisarza Jaducha, który ze zdenerwowania pocierał bez przerwy swoją łysinkę. Był niezadowolony, wręcz wściekły, że te baby popsuły mu pięknie zapowiadający się weekend. Nie mogły znaleźć zwłok w poniedziałek? Albo ta jakaś tam, denatka nie mogła dać się zamordować w tygodniu? A najlepiej to za dwa lata.

– Sławek! Kiedy wreszcie będą te kawy?

Aspirant Sławek Zawilski, który przed chwilą wrócił z przesłuchania sąsiadki zmarłej, wniósł dwa plastikowe kubki z naparem, który miał udawać kawę, i wyszedł. Po chwili pojawił się ponownie z jakimś świstkiem i bez słowa położył go na biurku komisarza.

– Nie masz czegoś słodkiego? – Nadia popatrzyła błagalnie na swego szkolnego kolegę. – Chociaż kosteczkę czekolady?

Pokręcił głową i zwrócił się do Elwiry:
– Co panie robiły w mieszkaniu denatki?
– Szukałyśmy mojego męża, który zaginął.
– Dlaczego akurat tam?
– Bo... – Elwira się zawahała – bo od jakiegoś czasu mieszkał z denatką. To znaczy z żyjącą denatką. A od tygodnia go nie ma. Co zgłaszałam, ale wy nic nie robicie. – Zaczęła się rozkręcać. – Zgłaszałam, ale wyście to olali. Przepraszam, zignorowali, zlekceważyli...

Jaduchowi udało się wtrącić:
– Mówi pani, że zgłaszała zaginięcie?
– Chyba wyraźnie to powiedziałam – zdenerwowała się nie na żarty. – Zaginął kilka dni temu.
– Sprawdzala pani w szpitalach? U znajomych?
– Sprawdzalam – warknęła.
– Nazwisko zaginionego.
– Ksawery Sałacki.

Sałacki? Jaduch usiłował sobie przypomnieć, gdzie słyszał to nazwisko. Nadia zauważyła jego niewyraźną minę.

– To znany autor powieści kryminalnych – wyjaśniła. – Książkę polskiego kryminału.

– A, tak, tak, słyszałem. – Nie tylko słyszał, ale nawet kiedyś z nim rozmawiał. Pisarz wypytywał go, jak skutecznie usunąć ślady przestępstwa. – To ten kryminalista.

– Że co, proszę? – oburzyła się Elwira.
– To znaczy pisał kryminały.

– No, tak. *Zacieranie śladów zbrodni na siedem sposobów* to jego ostatnia powieść – dodała.

– Drzwi były otwarte?

– Nie. Zamknięte.

– A jak panie weszły? Skąd miałyście klucze?

– Miałam i już. Nie pańska sprawa!

– Chyba jednak moja. Jak długo pani znała – spojrzał do swoich notatek – Marlenę Pys?

– Wcale jej nie znałam.

– Ani ja – dodała Nadieżda.

– O której weszłyście do mieszkania – znów spojrzał do notatek – Pys?

– A która teraz?

– Tuż przed waszym przyjazdem.

– Skąd wiedzieliście, że trzeba przyjechać?

– A właściwie co to ma do rzeczy, o której? Chyba ważniejsze, że znalazłyśmy zwłoki?

– Tak, to chyba ważniejsze!

Mówiły jedna przez drugą, aż Szerlok złapał się za głowę.

– Wystarczy – uciął krótko. – Aspirant spisze wasze zeznania. W tamtym pokoju. – Pokazał palcem kierunek. – Na teraz dziękuję. Jeśli trzeba będzie coś uzupełnić, to panie poprosimy do nas. Osobno.

– Mhm.

– No, jasne!

Odwróciły się na pięcie i wyszły bez „do widzenia”.

Nadkomisarz nie mógł się doczekać ekspertyzy patologa. Narzucił na plecy marynarkę, wsiadł do samochodu i pojechał do Zakładu Medycyny Sądowej. Mimo upalnego popołudnia ruch był ogromny. Jaduch kłął pod nosem na korki, światła i pieszych. Wiedział, że chociaż to sobota, Polański wziął się do roboty na polecenie prokuratora. Komisarz doceniał w Gwidańskim szybkość działania, pod warunkiem że nie dotyczyło to jego, Jaducha.

Z ociąganiem wysiadł z samochodu. Nie lubił tu przychodzić. Chłód bijący od wykafelkowanych ścian przenikał go na wskroś. I ten napis: *Hic mortui docent vivos*. Pamiętał jak Polański mu przetłumaczył: *Tu zmarli uczą żywych*. Tak się przy tym śmiał, że Jaduch mu nie uwierzył. *Bzdura*, pomyślał. *Jak martwi mogą uczyć?* Dopiero w domu zrozumiał, o co chodzi.

– Czego tu szukasz? – Marek Polański nie był zadowolony z wizyty.

– Masz już coś?

– A co? Nie możesz się doczekać oficjalnego sprawozdania?

– Przestań chrzanić i mów, co wiesz.

Lekarz pomału zsunął масечkę z twarzy, zdjął lateksowe rękawiczki i z dziwnym uśmiechem spojrzął na przybyłego.

– Najpierw się utopiła, a dopiero potem powiesiła.
– Utopiła? Jak? W wannie?
– Nie, w akwarium.
– Nie kpij, mów, co wiesz.
– Mówię, w akwarium. To taka szklana wanna z wodą, w której pływają rybki.

Bartłomiej zaniemówił. Od razu podejrzewał morderstwo, ale nie takie.

Utopiona w akwarium?

– Jak to możliwe?
– Ktoś siłą przytrzymał jej głowę pod wodą. Są sine ślady na karku i ramionach. Musiała się bronić. Machać rękami i uderzyć przegubem prawej ręki o brzeg akwarium. O, patrz, tu jest charakterystyczny ślad.

– Wierzę ci na słowo. A skąd wiesz, że to akwarium, a nie inny zbiornik?

– Bo oprócz wody w płucach w przełyku znalazłem to. – Podsunął pod nos komisarza miseczkę z małą rybką.

– Gupik Endlera. Nazwa naukowa *poecilia wingei*. Gatunek ryby z rodziny piękniczkowatych. Mam mówić dalej?

– Przestań. Jesteś tego pewien?

– Oczywiście. Hoduję rybki od lat.

– Nie o to mi chodzi.

Lekarz hodowca westchnął.

– Jeśli nie o to, to dałem próbkę do laboratorium. Ale wiesz, że trzeba poczekać. Marcysi nie pogonisz.

Z komendy wracały pieszo. Samochód został pod domem Marleny Pyś. Będą musiały pójść po niego później. Sły i zastanawiały się nad zaistniałą sytuacją.

– Kurczę blade! Wirka, ten breloczek!

– Breloczek?

– Mówiłam ci, że znalazłam obok śmietnika. A w śmietniku płaszcz. Taki w szkocką kratę. Śmieszny.

Elwira stanęła. Po chwili wydukała:

– W szkocką kratę? Śmieszny? Wcale nie śmieszny, bardzo elegancki. Ksawuś dostał go ode mnie.

– Lecimy!

Nadia pociągnęła koleżankę za rękę i zaczęła biec. Wirka z trudem nadążała. *Jak można z taką tuszą tak szybko biegać?*

Stały pod śmietnikiem, zasapane.

– Nie ma! Ani breloczka, ani – zajrzała do kontenera – ani płaszcza!

Stały przez chwilę w milczeniu.

– Wiesz, w nocy, jak wyszłam z domu...

– Po czekoladę?

– Skąd wiesz?

– Przecież wiem o twoim uzależnieniu, a poza tym wystarczy na ciebie popatrzeć.

– Chcesz znaleźć swego Ksawusia czy nie? – odpaliła Nadia ze złością.

– Sorki! Więc co? Wyszłaś z domu...

– Pod windą leżał pijak, teraz sobie przypomniałam, w takim właśnie płaszczu.

– Ksawuś nie jest pijakiem.

– Może nie był pijany, ale nieżywy?

Rumianek-Sałacka pobladła i oparła się o śmietnik.

– Myślisz, że Ksawuś...

– Nic nie myślę. Musimy go poszukać. Myśl, gdzie może być.

– Nie wiem. Jak byliśmy razem, to całe dnie siedział przy komputerze.

– Książka!

Wirka nie zrozumiała.

– O ile dobrze pamiętam, to w tej ostatniej była powieszona dziewczyna, a morderca ukrywał się w ogródkach działkowych.

– Była utopiona, a potem powieszona – sprostowała była żona pisarza.

* * *

Siedziały w mieszkaniu Elwiry i wertowały książkę *Zacieranie śladów zbrodni na siedem sposobów* z dedykacją: „Dla ukochanej żony”.

– Przecież nie byłaś już żoną, gdy wydał tę książkę.

– Ale w czasie promocji, jak podpisywał książki, szepnęłam mu na ucho, że jeśli tak nie napisze, to zrobię aferę na całą salę. I podpisał.

– No tak, proste. – Nadia popatrzyła na przyjaciółkę i westchnęła. – O, tutaj! – Przesunęła palcem po kartce i zaczęła czytać: – Wyszedł z mieszkania niezauważony. Swoje kroki skierował prosto do ogródków działkowych „Nad Strugiem”. Miał tam przygotowaną melinę. Pokrywa się kilka dni, a potem wyjedzie... – zamilkła na chwilę. – Było tak – kontynuowała – zamordował tę Ptyś, płaszcz wyrzucił, żeby go nikt nie rozpoznał. Breloczek wypadł mu z kieszeni.

– Ptyś, nie Ptyś. A co robił pod twoją windą?

– Hm... Wiem! Chciał przeczekać noc i pozbyć się tego obciachowego płaszcza.

– Płaszcz był elegancki – jęknęła Wirka niemal z płaczem.

– Może, ale rzucający się w oczy. Więc się go pozbył i poszedł na działki. Dokładnie opisał drogę. Idziemy!

– To czemu teraz nie ma go w śmietniku?

– Ksawusia?

– Nie, płaszcz. Chyba że w tym płaszczu w śmietniku leżał nieżywy...

– Ksawuś? Nie wiem, nie przyglądałam się dokładnie.

Nadia wzięła pod pachę książkę autorstwa Ksawerego Sałackiego i wyszły.

Tego morderstwa nikt się nie spodziewał. Spokojna, ładna blondyna szła ulicą wielkiego miasta. Była zamyślona. Ten wypadek nie dawał jej spokoju. To nie jej wina. Ona przecież niczemu nie jest winna. Nagle ktoś złapał ją za ramię.

– Co robisz, wariatko!? Nie widzisz, że autobus jedzie!?

Popatrzyła obojętnie na tego kogoś i wzruszyła ramionami. Przecież nic się nie stało. Usiadła na ławce. Na przystanku nie było nikogo. Jaki on jest przystojny, pomyślała o nowym znajomym. Tak, musi go odwiedzić. I niech pokaże jej te egzotyczne rybki, o których mówił.

Chłopak ze złością zamknął książkę.

– Grafoman cholerny!

Kopnął stolik, aż herbata wylała się na dywan. Po co, do kurwy nędzy, poszedł na to spotkanie autorskie?

– Znany autor, książkę polskiego kryminału!

*Kpił na głos, chociaż nikt go nie słyszał. Kryminały czytał od lat. Tylko kryminały. Dlatego poszedł na wieczór z Sałackim. Wziął nawet jego autograf. A teraz od miesiąca wertował książkę *Zacieranie śladów zbrodni na siedem sposobów*. Wystarczy jeden, a dobry, i on taki znalazł!*

Był ciepły letni wieczór. Prawie na każdej działce siedzieli ludzie, robili grilla, piekli na ogniu kiełbaski. Szły, tak jak napisano w książce. Od głównej bramy prosto, do końca, potem w lewo, też do końca. Po prawej stronie, ostatnia, zaniedbana, opuszczona działka, z rozwalającą się altanką.

– To tu!

Nadia była pewna. Przedarły się przez zarośniętą malinami ścieżkę i stanęły przed otworem, gdzie prawdopodobnie kiedyś znajdowały się drzwi.

– Ksawuś! To ja, Wircia! Wyjdź. Proszę! Nikomu nic nie powiemy. Słowo!

Cisza.

– Musi tu być.

Nadia przekroczyła próg i od razu zauważyła pod oknem leżącego mężczyznę.

Elwira spojrzała zza jej pleców i jęknęła. Na brudnej drewnianej podłodze leżał Ksawuś z nożem w plecach. Na płaszczu w szkocką kratę była widoczna ogromna plama krwi. Wokół wałyły się puszki z piwem, styropianowe opakowania po jedzeniu na wynos i stare gazety. Kobiety wycofały się pomału na główną ścieżkę, nie zwracając uwagi na klujące maliny. Elwira usiadła na ścieżce i oparła się plecami o drzewo.

– Nie mogę uwierzyć, że to Ksawuś.

Nadzieja z trudem wystukała sto dwanaście. Już po dwudziestu minutach usłyszały sygnał policyjnego wozu.

Jak spod ziemi wyrósł Jaduch, a za nim jego ludzie.

– Szybcy jesteście – stwierdziła z podziwem Nadia.

Po półgodzinie przyjechał Marek. Popatrzył na denata i odwrócił się do kobiet.

– Jak chciałyście się ze mną spotkać, piękne panie, to wystarczyło zadzwonić. Nie trzeba od razu mordować. Kto to? – zwrócił się do Bartłomieja.

– Miał dokumenty na nazwisko Ksawery Sałacki.

Nikt na razie nie zwracał uwagi na przyjaciółki, które zaczęły coś szeptać między sobą.

– Zabił tę dzidirę i popełnił samobójstwo – stwierdziła błada jak płótno Elwira.

– Samobójstwo? Wbijając sobie nóż w plecy? – Nadia popukała się w czoło.

– I znowu wy znalazłyście zwłoki – raczej stwierdził, niż zapytał komisarz. – Nie za często jak na jeden dzień?

Grupka gapiów stawała się coraz większa i Jaduch z niechęcią pomyślał, że trzeba ich wszystkich przesłuchać.

– Sławek, spisz dane państwa – powiedział do aspiranta, a do tłumku: – W razie konieczności poprosimy państwa do komendy.

Grupka gapiów szybko zaczęła maleć.

Tymczasem ekipa zrobiła swoje. Patolog mruknął:

– Po sekcji.

A komisarz zapytał Elwirę, czy zidentyfikuje zwłoki.
Dopiero wtedy przyjaciółki przyjrzały się dokładnie zamordowanemu.

– To nie Ksawuś.

– Tak, to zupełnie ktoś inny – potwierdziła Hope.